

FUNDACJA ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Morskiej Straży Państwowej
87-100 Toruń, ul. Powstańców 21, tel. 56 65 22 188
e-mail: zak@op.pl, zawacka@op.pl
NIP 529 50 00 197, REGON 14 060 2736
KRS 00000 416 42
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

Zesłanie M. Czajka
oprac. B. Rójek 2014



AK
WiN
Rzeszów

CIEŚLIŃSKA Irena
zam. Skrzypiec
ps. "Myszka"

1038/48

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI 1038/HSK

Cieślińska Jrena

zam. Skrzypiec

ps. „Myszka”

I.1. Relacja ✓

I.2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I.3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące delatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III/1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5. Inne

IV. Korespondencja —

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne : ✓

VI. Fotografie —

I/1 Relacja

- Relacja własna - "Wspomnienia - Arentowamie"
autorstwa Irenej Aesliniskiej - Skupiec.

Originalny artykuł z Nike (bez podania numeru
i roku) - kartki wyjęte z voluminu od str. 22 do 31.
K. 6, s. 11.



WSPOMNIENIA

Irena Cieślińska-Skrzypiec

Aresztowania

W 1944 roku, po wkroczeniu Wojsk Sowieckich na terytorium rzeszowszczyzny i aresztowaniu przedstawicieli Armii Krajowej, którzy na polecenie Komendanta Podokręgu AK - ujawnili się, - pozostali żołnierze AK przeszli do dalszej konspiracji na czele z komendantem Inspektoratu Rzeszów "Pługiem". Będąc wówczas łączniczką "Żbika" w tym Inspektoracie rozwozilałam "pocztę" na poszczególne obwody, czy placówki. Przepisywałam również materiały propagandowe na maszynie.

Przed wojną ukończyłam gimnazjum ogólnokształcące, podczas okupacji uczęszczałam na tajne komplety, ale niestety z powodu zagrożenia musiałam wyjechać z terenu, w którym się ukrywałam. Teraz miałam znów okazję, by kontynuować rozpoczętą naukę - bardzo chciałam wreszcie zdać maturę. Niestety, dwa dni przed maturą otrzymałam polecenie od "Żbika", żeby natychmiast wyjechać z Rzeszowa do Krakowa. Był to już 1946 r. Pracując w dalszym ciągu w konspiracji, zapisałam się jednak w Krakowie do Liceum Administracyjno-Handlowego. Nauki było dużo, więc czas mijał mi bardzo szybko. Cieszyłam się ogromnie, że będę mogła już niedługo zapisać się na Wyższe Studia. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłabym nie zdać matury. Były to powojenne czasy, i jednak poziom wiedzy niektórych kolegów był dość niski, a ja wiele jeszcze pamiętałam z nauki przedwojennej gimnazjalnej. Nauka języka angielskiego też nie sprawiała mi trudności - uczyłam się tego języka w czasie okupacji. Był koniec 1946 r., kiedy dowiedziałam się o aresztowaniu mojej serdecznej koleżanki, z którą współpracowałam jeszcze w Rzeszowie, i tu spotkałam Ją

w Krakowie. Konspiracja niestety nie pozwalała na ułożenie sobie normalnego życia. Szefowie b. przestrzegali, byśmy niepotrzebnie nie zawierały różnych przypadkowych znajomości z wiadomych powodów, a człowiek był młody i życie towarzyskie studenckie pociągało mnie. Ceniłam sobie bardzo towarzystwo Zosi i zżyłyśmy się. Był to dla mnie duży cios i ciężko było mi się z tym pogodzić. (Na pewno każda z nas dopuszczała gdzieś na dnie swojej świadomości taką myśl, - ale inaczej to przyjmuje jako fakt dokonany). Zosia była jedną z pierwszych moich koleżanek, którą aresztowało UB. Dużo czasu mi teraz pochłaniała opieka nad nią. Różnymi drogami starałam się, by Jej pomóc, zwłaszcza chodziło o pomoc lekarską, - gdyż była wątłego zdrowia. Nadchodził czas matury. Nie mogłam tak zostawić Zosi, wiedziałam, co znaczy dla każdego, który jest uwięziony, świadomość, że ktoś na "Wolności" myśli, pamięta i stara się pomóc. Robiłam to i z własnej woli i z polecenia organizacji. W śledztwie zachowywała się dzielnie, spotkałyśmy się potem w Fordonie i odwiedzałam Ją w późniejszych latach w Jej miejscu zamieszkania.

Zbliżał się termin matury. W lutym 1947 r. szef mój jednak zdecydował, że muszę znów wyjechać z Krakowa, a przynajmniej nie mogę więcej chodzić do szkoły, bo jest w tej szkole "ktoś" z Rzeszowa i prawdopodobnie jestem już obserwowana. Byłam naprawdę zdruzgotana - trzeci raz siadam do matury i znów nic z tego - nie mogłam się wewnętrznie z tym pogodzić. Zdawałam sobie sprawę z wagi zagrożenia nie tylko mojej osoby, ale przecież całej organizacji, a z drugiej strony jakiś głos podświadomie mi mówił, że jeśli teraz nie zdam matury, to już nie zdobędę się na ten wysiłek po raz czwarty. Nie chciałam tego wysiłku tak lekko przekreślać. Byłam dobrej myśli i po długich prośbach uzyskałam zgodę dowódców, że pójdę na egzamin pisemny i jeśli tylko coś niebezpiecznego zauważyła w zachowaniu tego "kolegi" (bo już dowiedziano się, kto to jest - zdawał razem ze mną maturę) - muszę natychmiast uciekać. Matura pisemna przeszła spokojnie, bez zgrzytów. Z ustnego z języka polskiego byłam zwolniona, reszta przedmiotów "poszła"

dość gładko - zdawałam w pierwszej trójce - i jak obiecałam, już nie czekając na uroczyste zakończenie tzw. bal maturalny - wyjechałam natychmiast do Cioci z gorączką 38° chyba ze zdenerwowania, ale jakże szczęśliwa. Po paru dniach wróciłam do Krakowa i jak się później okazało, wiadomość o tym koledze była niezbyt dokładna, ale starałam się go nie spotykać. Ogólne sprawy naszej organizacji WiN wymagały jednak zmiany miejsca naszej pracy i musieliśmy opuścić Kraków. Prosiłam, bym mogła wyjechać do takiego miasta, gdzie będę mogła studiować. Tyle miałam zapału, ochoty do nauki, musiałam wybierać taki kierunek studiów, który nie kolidowałby z pracą w konspiracji. Wybór padł na Łódź. Nie miałam tam prawie żadnego tzw. punktu zaczepienia. Moja koleżanka z Łańcuta Taisja studiowała stomatologię, więc udałam się do Niej do Akademika i Ona bardzo mi ułatwiła wejście w tzw. życie studenckie. Zostałam przyjęta do Szkoły Głównej Handlowej, ale nie miałam gdzie mieszkać. Kilka razy nocowałam u Taisji w Akademiku, ale z rzeczami nie mogłam na dłużej się tam zatrzymać. Udałam się do Duszpasterstwa Akademickiego i dzięki pomocy O. Roztworowskiego, kapelana AK-owców (ks. "Marek" z Powstania Warszawskiego) dostałam "kącik" u starszej pani na poddaszu - naturalnie bez żadnych wygód - ale byłam bardzo zadowolona.

Miałam głowę pełną planów na przyszłość. W pracy konspiracyjnej ze względów bezpieczeństwa musieliśmy ograniczyć nasze spotkania. Wielu kolegów UB już aresztowało.

Od paru lat jakoś miesiąc październik nie był dla mnie najszczęśliwszy, ale w końcowym rozrachunku wszystkie sprawy kończyły się dość pomyślnie dla mnie. Pewnego dnia podczas spotkania z "Izą" (M. Kawalec) otrzymałam pocztę, którą miałam doręczyć w Krakowie koledze, którego znałam jeszcze z pracy konspiracyjnej z Rzeszowa. Cieszyłam się z tego wyjazdu, miałam jeszcze załatwić swoje sprawy prywatne, a Józka Szmita też nie widziałam dawno - łączyły nas serdeczne stosunki koleżeńskie. Przed wyjazdem pożegnałam się z O. Rostworowskim, zostawiłam

swoją maszynę w Duszpasterstwie i umówiliśmy się na któryś dzień w końcu października.

Do Krakowa przyjechałam rano - spotkanie z Józkiem miałam około południa (tak dobrze pamiętam do dnia dzisiejszego) na Błoniach pod Akademikiem. Ciepły był wtedy październik, pełno młodzieży beztroskiej, śmiech, gwar na ulicy. - Przyszłam punktualnie, ale nie widzę Józka - więc spaceruję sobie i naraz staje przede mną wysoki mężczyzna, prowadząc rower i pyta: "Pani na mnie czeka?" Odpowiedziałam, że nie, a wtedy on: "a na kogo?" Chcąc, żeby się "odczepił" powiedziałam, że na koleżankę, która jest w Akademiku. Pan nadal stał i powiedział: "ta Pani nie przyjdzie, proszę mi dać tę kopertę". Wtedy już się zorientowałam i nabrałam pewności, że to UB. Odpowiedziałam: "Pan chyba mnie bierze za kogoś innego, Pan się pomylił", i odeszłam. Nadjeżdżał tramwaj, więc prędko wskoczyłam do niego - jeszcze podświadomie się łudziłam, że to może jakieś żarty, ale niestety Pan jechał na rowerze obok tramwaju. Uporczywie tylko jedna myśl zaprzętała moją głowę: muszę go zgubić. Przy Filharmonii wyskoczyłam z tramwaju i prędko pobiegłam na drugi przystanek, który był obok i wskoczyłam do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju - jechał na ul. Zwierzyniecką. Wyrzesałam przez okno, już tego Pana nie widziałam, ale nie byłam pewna, czy nie "przekazał" mnie komuś innemu. Znałam dobrze tę dzielnicę. Wsiadłam. Wpadłam do znajomej bramy, przeczekałam na schodach, by się upewnić, czy rzeczywiście ktoś drugi idzie za mną. Na szczęście "tych panów" można było poznać po wyglądzie i po ubiorze, a po tylu latach konspiracji czasem działał instynkt samozachowawczy. Wyszłam drugą stroną bramy na inną ulicę. Wydawało mi się, że nie jestem obserwowana, ale na wszelki wypadek wskoczyłam znów do tramwaju - nie widziałam nikogo podejrzanego koło siebie. Byłam pełna napięcia, zdenerwowana. Chciałam jak najprędzej uporządkować myśli. Pośpiech i zdenerwowanie są złymi doradcami w takich chwilach. Na razie szłam przed siebie, bez celu. Jeszcze będąc w bramie schowałam pocztę za staniczek. Pierwsza myśl - to iść na stację i wracać do Łodzi. Ale nie mogę - muszę zawiadomić Adama

i Cesię, z którymi byłam w bardzo serdecznych stosunkach - znaleźliśmy się jeszcze w Rzeszowie. Okrężną drogą, nawet nie wiedziałam kiedy, znalazłam się przed domem Adama. Umówiony znak w oknie w razie zagrożenia, ostrzegał nas, że do domu wchodzić nie wolno. Tyle myśli kłębiło się po mojej głowie - parę minut spacerowałam po ulicy i zobaczyłam Cesię (żonę Adama) w oknie. Lżej mi się zrobiło na sercu i prędko weszłam do nich. Adama nie było w domu. Opowiedziałam Cesi wszystko od początku i tak radziłyśmy, co teraz zrobić. Kochana Cesia - zaraz mnie nakarmiła i w pewnym momencie ktoś puka... już miałyśmy "duszę na ramieniu", pomyślałam wtedy: "a jednak mnie obserwowano". Cesia zapytała "kto to?" - Zbyszek. Mój serdeczny kolega jeszcze z lat dzieciennych, a raczej naszej młodości w Żółkwi. Rodzice nasi byli zaprzyjaźnieni. Spotkaliśmy się przed wojną w Rzeszowie. Ojciec Zbyszka był starostą w Rzeszowie, a mój dowódcą pułku w Łańcucie. W czasie okupacji razem pracowaliśmy w sklepie żywnościowym w Rzeszowie. Sklep prowadziła znajoma naszych rodziców, żona oficera. Zastępowała mi matkę - do końca jej życia byliśmy w bardzo serdecznych stosunkach. Człowiek o wyjątkowej dobroci i anielskim sercu. Drugi sklep żywnościowy na ul. Lwowskiej w Rzeszowie prowadził w czasie okupacji Adam z żoną.

Zbyszek, zdenerwowany, powiedział nam, że chyba coś się stało, bo cały most Dębicki jest obstawiony i musiał iść okrężną drogą. Do Adamów szło się właśnie przez ten most. Skonfrontowaliśmy moje zajście ze spostrzeżeniami Zbyszka i doszliśmy do przekonania, że coś koło naszej grupy się dzieje, coś jest niedobrze... Zbyszek miał coś jeszcze załatwić w Krakowie, ja też chciałam załatwić to wymeldowanie z Krakowa. Adam nie wracał... byliśmy niespokojni i podenerwowani. Pożegnaliśmy serdecznie Cesię, prosząc by wszystko przekazała Adamowi i oboje dookoła, poza miastem dostaliśmy się do Łagiewnik, gdzie przedtem mieszkałam. Zbyszek mnie odprowadził - szliśmy tak około dwóch godzin, odprężyliśmy nasze głowy wspominając dawne dzieje, jakoś dobrze nam było tak idąc... Nie przeczuwaliśmy wtedy, że widzimy się po raz ostatni, a może

właśnie, podświadomie przeczuwaliśmy, że to ostatnie nasze rozmowy przyjacielskie. Nie umawialiśmy się na następne spotkanie, bo jednak zasady konspiracji nie pozwalały na taki luksus, spotykaliśmy się tylko przypadkowo. Nie wiedziałam, gdzie mieszka, czy, i gdzie pracuje. On też nic nie wiedział o moim obecnym życiu, poza tym, że oboje pracujemy w konspiracji. Późno już było, chciałam nocować u mojej dawnej sąsiadki, gdyż moje mieszkanie odstąpiłam młodej osobie, która pracowała razem z Adamem. Jak się okazało, było to nasze nieszczęście...

Weszłam do kamienicy, jeszcze raz się obejrzałam za Zbyskiem, pokiwałam i już nie chciałam przedłużyć tego pożegnania. Sąsiadka była w domu, przezornie zapytałam, czy u mnie w mieszkaniu wszystko w porządku - powiedziała, że tak i zapytałam, czy będę mogła u niej przenocować, gdyby w moim pokoju nie było miejsca. Zgodziła się bardzo chętnie. Wchodząc do budynku, zajrzałam przez balkon do moich okien - w kuchni było ciemno, ale w pokoju paliło się światło. Zapukałam - otworzył mi drzwi jakiś pan w młodym wieku. Zapytałam, czy jest panna Marysia. Zaprosił mnie, żebym weszła, a tam zobaczyłam całe towarzystwo wesole, panna Marysia już leżała w łóżku, jeszcze jakaś pani czy panna i trzech młodych panów... No, pomyślałam, niezła zabawa. Powiedziałam do panny Marysi: "widzę, że pani ma gości - więc przyjdę jutro, by załatwić formalności z wymeldowaniem", a ona, że dobrze. Powiedziałam "do widzenia" i zabieram się do wyjścia. W kuchni nadal było ciemno i kiedy położyłam rękę na klamce jeden z obecnych tam panów położył swoją rękę na mojej i powiedział: "nie wyjdzie pani". Zbyt szybko następowały wydarzenia, bym mogła skoncentrować swoje myśli. Pierwszy odruch - zachnęłam się i myślałam, że to głupi żart, odepchnęłam jego rękę i zabieram się do wyjścia. Wtedy zagroził mi drogę i powiedział: "pani jest aresztowana". Jeszcze do dziś, gdy wspominam tamte czasy, te słowa dźwięczą mi w uszach... Co się czuje w takiej chwili? Najpierw jakaś ogromna pustka w głowie, ale to tylko sekundy, należało przecież jakoś mądrze zareagować na tę niespodziewaną sytuację. Pan wrócił do pokoju, coś się zapytał panny Marysi

a drugi z panów już był przy mnie. Jeszcze miałam na tyle udawanej bez troski, że powiedziałam, że to chyba pomyłka. Wymienił moje nazwisko, ale nie zaglądał do torebki, ani nie miałam zrobionej żadnej rewizji.

Zawrzało w pokoju, zrobił się ruch, jeden wybiegł, inni coś szeptali między sobą, a ja dochodziłam do przytomności. Już zdawałam sobie sprawę, że klamka zapadła. Zdawałam sobie też sprawę, że muszę się skoncentrować, by działać szybko, mądrze, by nie popełnić żadnego niepotrzebnego kroku. Więc najpierw musiałam coś zrobić z pocztą, którą miałam przy sobie. W każdej chwili mogła przyjść, czy przyjechać strażniczka i zrobić mi rewizję osobistą. Nie orientowałam się, kto to jest ta druga pani, czy koleżanka p. Marysi, czy strażniczka. Myśl, że nie mogę oddać im poczty wprost wbijała mi się do głowy, ale co zrobić? Została jeszcze w kuchni moja maszynka elektryczna do gotowania, podeszłam, chciałam sobie zrobić herbatę - nie pozwolono mi. Herbatę zrobiła p. Marysia. W pewnym momencie ktoś zapukał do drzwi - panowie prędko podbiegli i już otwierali - weszła moja sąsiadka, przyniosła mi pierogi (które bardzo lubię) czekała na mnie - nie przychodziłam, więc przyszła. Podziękowałam jej, ale nie mogłam dać jej znać, co tu się stało. Sprawa prędko się wyjaśniła, bo już jej nie wypuścili. Nie mogliśmy ze sobą na razie rozmawiać, ale ona zorientowała się w sytuacji. Za chwilę znów ktoś puka - to była jej córka, spytała, czy jest jej mamusia. - Jej też już nie wypuścili. Była przestraszona, rzuciła się matce na szyję i zaczęła płakać. Za parę minut znów pukanie - to syn gospodyni, pyta czy są obie tutaj - zobaczył całe towarzystwo i sprytny chłopak prędko się zorientował w sytuacji. Coraz więcej nas było - wytworzyła się dogodna sytuacja dla mnie, bo było tylko dwóch z UB, dwie panie i nas troje... Można było spróbować ucieczki. Syn podszedł do mnie i powiedział, że bym skakała przez okno a oni przetrzymają UB-owców. Była to trudna decyzja - nie chciałam narażać całej tej rodziny - nie bardzo się orientowałam jaką rolę odgrywa panna Marysia i jej koleżanka, po czyjej byłyby stronie. Nie wiedziałam też, czy na zewnątrz nie stoją UB-owcy i nie pilnują domu - nie zdecydowałam się. Czas nieubłagalnie

prędko mijał a jeszcze miałam "kompromitujące" papiery przy sobie. W każdej chwili mogli po mnie przyjechać i wtedy na UB na pewno już będę miała rewizję osobistą. Byłam młoda, potrafiłam jeszcze wtedy opanować swoje nerwy. Wzięłam tę przygotowaną dla mnie herbatę i powiedziałam spokojnie, że jestem po podróży zmęczona, że się położę. Była już chyba północ... Sąsiadce pozwolili przynieść materace, koce i pierzynę. Położyłyśmy się obok siebie, ale na razie nie rozmawiałyśmy ze sobą. Najważniejsze dla mnie było zniszczyć te papiery. Wiedziałam, że to są ważne dokumenty. (Później w śledztwie dowiedziałam się, że był to zaszyfrowany kontakt na zagranicę). Pod pierzyną ostrożnie, cichutko rozdarłam kopertę, przed tym prosiłam syna gospodyni, by rozmawiał głośno z tymi panami. Cała pełna napięcia nerwowego, zaczęłam pomału drzeć papier i wkładać do ust. Brakowało mi śliny, ale nie chciałam sięgać po herbatę - by się nie zorientowali, że coś łykam i popijam, że ruszam ustami. Całą tę czynność zrobiłam pod przykryciem pierzyny - ze zdenerwowania cała się trzęsłam i chyba ze strachu... Na szczęście były to dosyć cienkie bibułki - wtedy wydawało mi się, że to duży arkusz - łykałam, łykałam... i co za ulga, kiedy ostatni kawałek tej bibułki przełknęłam. Kopertę włożyłam pod poszwę pierzyny. Była czysta, nie zaadresowana. Tak sucho miałam w gardle, że z trudem przełykałam. Pomału odrzuciłam pierzynę, usiadłam na materacu i powiedziałam, że jest mi niedobrze, spuściłam głowę na dół. Udawałam trochę, chciałam znaleźć pretekst do popijania herbaty. Odnosiłam takie wrażenie, że moja osoba nie bardzo ich obchodzi, rozmawiali cały czas z synem i paniami, a może udawali tylko. Trochę dostałam nudności, ale nie mogłam wymiotować, bo mogliby się zorientować, że coś połknęłam. Zastanawiałam się później, czy prościej było pójść do ubikacji i tam podrzeć papier i wrzucić. Bałam się, że pójdzie któraś z tych pań ze mną i będzie mnie pilnować, a w ogóle bałam się ruszyć z materaca, by jednak sobie nie przypomnieli, że trzeba mi zrobić rewizję osobistą. Przecież to było logiczne, jeśli na punkt kontaktowy przyszedł ktoś z UB - to wiedział, że mam pocztę dla Józka. Widocznie ci, którzy siedzieli

u mnie w mieszkaniu na tzw. "kotle" nie kontaktowali się z oficerami śledczymi z Placu Inwalidów. Całe moje szczęście. Naiwna byłam sądząc, że jeśli pozbyłam się "kompromitujących" i obciążających materiałów to nic mi nie zrobią - do niczego się nie przyznam... Czułam się jednak swobodniejsza, zaczęłam po cichu rozmawiać z gospodynią. Pozostałe towarzystwo było zajęte rozmową między sobą.

Głowę miałam pełną przeróżnych myśli, które zmieniały się prawie co sekundę. Nie mogłam się modlić, w myślach prosiłam tylko Boga o opiekę, by mnie nie opuścił. Coraz bardziej odczuwałam lęk ogromny, że chyba już aresztowali Józka, a co z Adamem, Zbyszkim? Nie mogłam się dowiedzieć jak długo już "siedzą" u mnie, bo gospodyni nie było w Łagiewnikach i dopiero dziś przyjechała, też nic nie wiedziała. Ten sztuczny spokój był tak denerwujący dla mnie, a w głowie jakaś ogromna pustka, próżnia, nic więcej... Gdzie jest ten trzeci? Dlaczego nie przychodzi, dlaczego mnie od razu nie zabrali na UB na Plac Inwalidów, czy gdzieś indziej? Z trudem chciałam skupić myśli i jakoś logicznie przewidzieć co dalej ze mną, jak potoczą się wypadki, kto jeszcze aresztowany? Czy szefowie wiedzą, że mnie aresztowali? Czy Ich też aresztowali? Tyle znaków zapytania, tyle niewiadomych! Tak zajęta byłam swoimi myślami, że nie słyszałam, co do mnie mówi gospodyni. Pytała, czy nie potrzebuję pieniędzy! Oddałam Jej swoje pieniądze, bo mnie przecież już nie będą potrzebne. Prosiłam, żeby mi przysłała paczkę, a raczej podała, jeśli będę w więzieniu w Krakowie. Co w tej mojej głowie się działo? Raz byłam pewna, że nic mi nie zrobią, skoro nie mają dowodów, ale zaraz druga myśl podpowiadała już raczej logicznie, że skoro w moim mieszkaniu jest "kocioł" i skoro wiedzieli, że mam spotkanie z Józkiem - to chyba wiedzą i o innych sprawach. Trudno uwierzyć, ale chciałam, żeby już coś się działo, żeby przyszedł ten trzeci i coś mi powiedzieli albo zabrali... to też była metoda UB - działanie psychologiczne. Męczące to były godziny, cała byłam spięta, zdenerwowana tą niepewnością. Później zdałam sobie sprawę, jakim błogosławieństwem były dla mnie te spokojne godziny, kiedy mogłam opanować się, ułożyć sobie w głowie - co

mam mówić. I kiedy już uspokoiłam się trochę - to usłyszałam tupot nóg po schodach, wpadło paru wojskowych i do mnie "ubierać się". Sprowadzili mnie na dół, wzięli pod ręce i wsadzili do łazika - już traktowanie mnie zaczęło się ostrzejsze. We czwórkę - trzech mnie konwojowało, przyjechaliśmy na Plac Inwalidów. Nie opisuję tej drogi, bo po prostu jej nie pamiętam - wydawało mi się, że to była tylko jedna sekunda... Tak zatrzasnęły się za mną drzwi wolności na długie lata, ale wtedy już inne myśli absorbowwały moją głowę.

Nazwa budynku i sam budynek budziły grozę. Od dawna znaliśmy tylko ze słyszenia to miejsce kaźni. Teraz spotkałam się sama z tą brutalną rzeczywistością.

Wprowadzono mnie od razu na dół, po schodach do piwnic. Zapamiętałam ten zgrzyt klucza przy otwieraniu ciężkich drzwi, dzwonienie kluczami, które niestety już towarzyszyło mi przez całe 8 lat pobytu w więzieniu. To dzwonienie kluczami było czasami tak przeraźliwe, że myślałam, że dostanę obłędu. Zatykałam uszy rękoma - nie pomagało. Nazwałam to "dzwonieniem" - było to uderzanie kluczami o żelazną kratę, lub kluczem o klucz - to wywierało na więźniach zamierzony lęk, napięcie nerwów, dekoncentrację myśli. Strażnicy uderzali tymi kluczami podobno, by dawać znak gdy prowadzili więźnia, by drugi strażnik wiedział, że nie może prowadzić drugiego - to tzw. wewnętrzna konspiracja. Więźniowie nie mogli w śledztwie ani się widzieć, ani spotykać, no i, broń Boże, porozumiewać się ze sobą. Tę zasadę przestrzegano też w stosunku do nas i po wyroku.

W piwnicy, gdy strażnik otworzył te ciężkie drzwi i zostałam wepchnięta do środka, od razu wpadłam na dużego psa - wydawało mi się, że był to ogromny owczarek, szczekający - ale nie rzucił się na mnie, widocznie i on miał robić właściwe wrażenie na nowoprzybywającym. Dziwne, że w ogóle nie zapamiętałam wtedy żadnej ludzkiej twarzy strażników i strażniczek - a może nie posiadali tej twarzy...

I tak się rozpoczął mój okres śledztwa, przesłuchania w dzień, ale przeważnie nocą i te rozmowy z mjr Światłą Józefem, ale to już osobny rozdział.

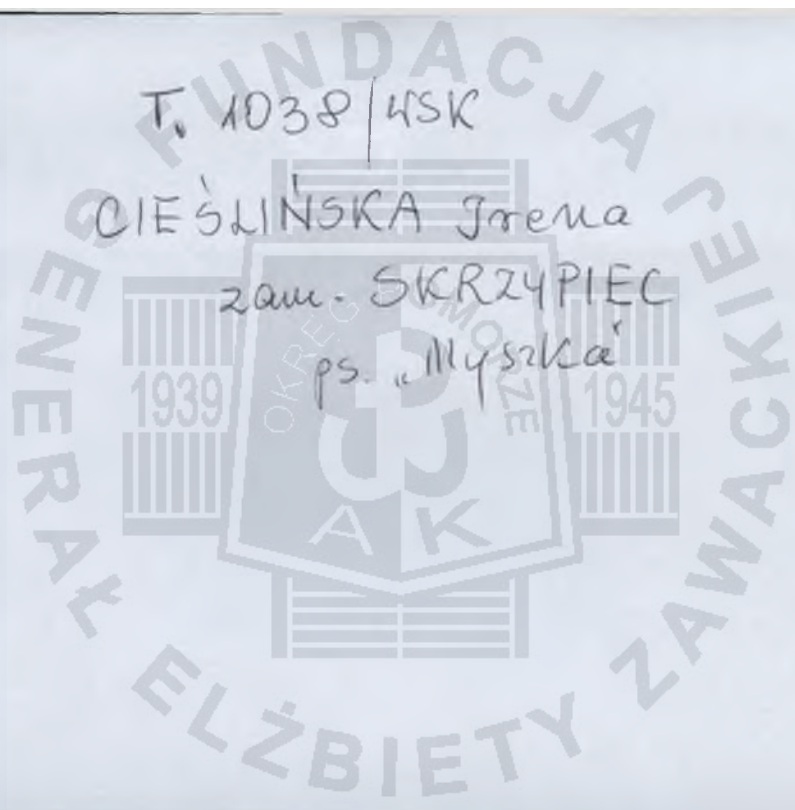
V.
Nazwiskowe
karty inform. 3

T. 1038/4SK

CIEŚLIŃSKA Jarema

zam. SKRZYPIEC

ps. „Myska”



AK
WiN,
Rzesza

CIEŚLIŃSKA - SKRZYPIEC,
Irena, ps. "Myśka", "Dziwidła"
"Barbara"

Ur. 16.10.1922 r. w Stanisławowie, 4.1939 r.
ukończyła 4 klasę gimnazjum ss (Bohomerkiel)
w Ławeczce. Od 1942 r. "AK" - łączniczka.
Po 1945 r. kontynuowała działalność konspiracyjną
w ROAK, DSZ, NIE, HIN - funkcje łączniczki,
maszynistki, kwaterantki. Arestowana 27.10.1947 r.
Osadzona w więzieniu śledczym w Kielcach,
przeznaczona do MBP w Warszawie, potem na Roboty
Nocne. Otrzymała wyrok 15 lat. Pracyła w więzieniu
w Fordonach od 1949 r. do 1952 r. Potem była w wię-
zieniu w Świdwińcu, później w Warszawie i Fordonach.
W Fordonach zachorowała na miażdżycę. Była
leczona w szpitalach w Bydgoszczy. Na
mocy amnestii zwolniona 14.08.1956 r.

(Na podstawie zwołać po imieniu - Księga
Kobiet - Wzrost Polityczny 1944-1958)
i. l.

B. R. 7

T. 1038

HSK - AK
Rozsazón

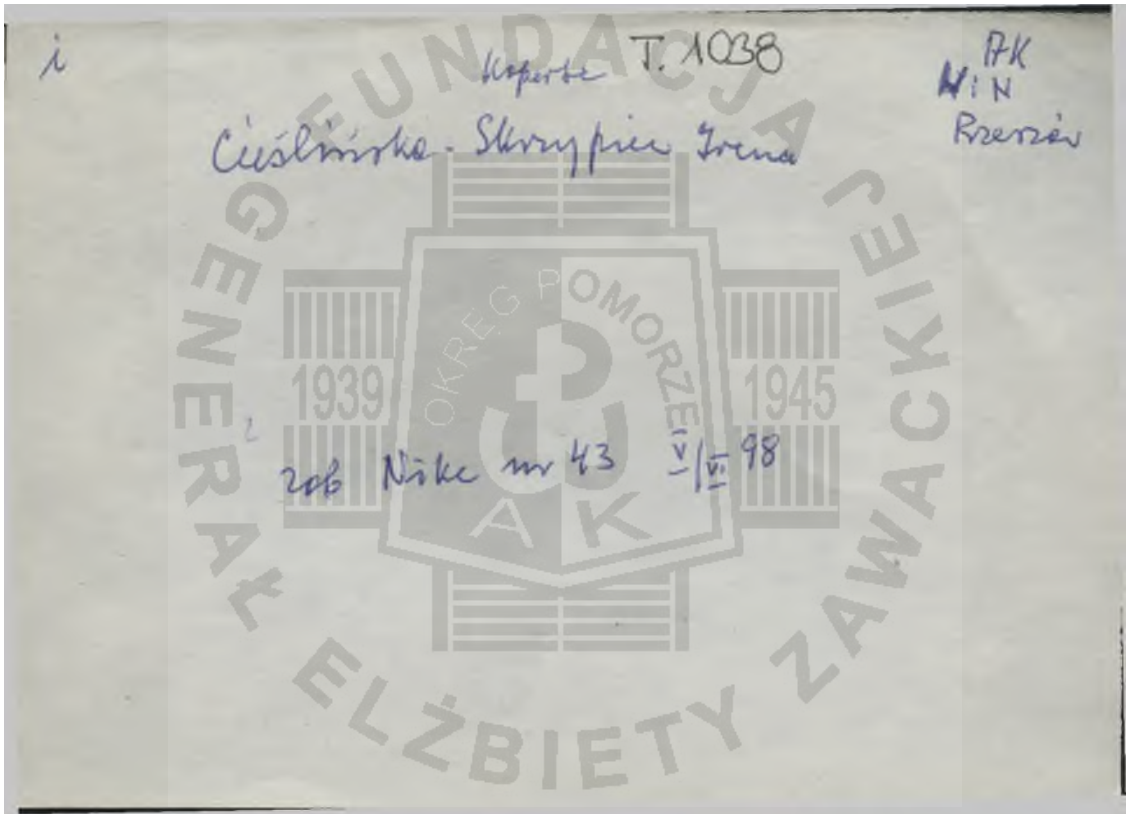
Čiřišlinská - Škoryjnic Jrene
po "Mysla"

1939

1945

AK

nif list (51) listopad 12.11.1946r.
od p. Ruty Čiřišlinskij
Sezka II Sezje



Marta Czajka



AK
WiN
Rzeszów

CIEŚLIŃSKA Irena

zam. Skrzypiec
ps. "Myszka"

1038/WS

CIEŚLIŃSKA Irena



CIEŚLIŃSKA Jrena

